№ 38.

Warszawa dnia $\frac{11}{23}$ Września 1865 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* złp. 10, **na prowincji i w Cesarstwie** *półrocznie* złp. 25, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

OD REDAKCJI.



Z dniem 1 Października r. b. rozpoczyna się dla Warszawy czwarty kwartał prenumeraty na Tygodnik Mód, raczą przeto Szanowni Prenumeratorowie, wcześnie składać przedpłatę we właściwych miejscach, aby w odbiorze numerów żadna nie nastąpiła przerwa. W obec jednak tak nienaturalnie rozwijającego się u nas wydawnictwa perjodycznego, szczególniéj też pism poświęconych modom, winniśmy słowo objaśnienia, aby nas nie oskarżono, o niedbałość, niechęć lub lenistwo.

Ponieważ pisma te, głównie miały się odznaczać kliszami zagranicznemi, udaliśmy się więc umyślnie do Berlina, Paryża i Wiednia, aby również ze źródła tego o ile można korzystać. Po dokładnem jednak zbadaniu rzeczy na miejscu, przejrzeniu wszystkich niemal pism illustrowanych i po gruntownem zastanowieniu się, myśl illustracji kliszami zagranicznemi, jako nieodpowiadającą właściwemu celowi, i nieprzynoszącą zamierzonéj korzyści, stanowczo odrzuciliśmy. Gust bowiem Niemek i Francuzek, zarówno w stroju jak i robotach ręcznych, zupełnie jest inny jak gust Polek, dlatego wszystkie prawie modele sprowadzone z zagranicy, przez tutejsze Magazyny Mód są przerabiane według smaku miejscowego, bo żadna z kobiet u nas nie ubierze się w jakiś ekscentryczny paryzki kapelusz, w berlińską chustkę szydełkiem odrobioną, w wiedeńskie ubranie głowy z włóczki, lub kołnierzyk szydełkowy albo z perełek. Żadna także z naszych kobiet choćby najpilniejsza robotnica, nie zajmie się robótkami wymagającemi osobnych przyrządów z trzciny, drzewa lub drutu, koniecznych do utworzenia całości, a w sklepach naszych nie znajdujących się, ani pleceniem np. jedwabnéj torsadki lub ozdób szmuklerskich, bo te lepiéj odrobione na maszynie i bez mitrężenia czasu, mogącego być użytym daleko korzystniéj, dostanie w każdym odpowiednim sklepie. Pomijamy tu liczne drzeworyty uczące np. krajania gęsi lub zająca, według zasad ani nowych, ani ulepszonych i inne podobne drobiazgi, zajmujące nieraz całe stronice.

Że zaś wszystkie dzienniki mód illustrowane, zarówno niemieckie jak francuzkie, po większéj części obejmują podobnie niepraktyczne modele kapeluszy, sukien, robót ręcznych i opisy drobnostek małéj wartości, a nader ograniczoną ilość rzeczy prawdziwie dla nas pożytecznych, wiązanie się zatem z jedną wyłącznie publikacją, obowiązkowe korzystanie z jéj tylko kliszy i to wszystkich bez wyboru, uważaliśmy za niewłaściwe a nawet szkodliwe, bo każda miejscowość jak powiedzieliśmy, ma swój gust i swoje potrzeby. W miejsce zaś odrzuconéj illustracji kliszami zagranicznemi, postanowiliśmy po-

większyć i rozwinąć lepiéj jeszcze tygodniowe dodatki, wybierając do nich ze wszystkich zagranicznych pism, rysunki i kroje przedmiotów tylko praktycznych i rzeczywiście pożytecznych.

Nadto illustrowanie takie pisma, nie może się obejść bez uszczerbku części literackiéj, która ze szkodą Czytelników, w miarę powiększania rysunkowych kliszy, musi się uszczuplać i niezmiernie ograniczać. Nam zaś nie idzie o pozorną ozdobę ale o użyteczność, tymbardziéj że na tablicach haftu, wzorów bielizny i krojów, możemy mieścić wszystko, co tylko dobrego obejmują w sobie zagraniczne klisze.

Trzymając się więc raz obranego kierunku i pragnąc coraz więcéj odpowiadać pokładanemu w nas zaufaniu, od przyszłego nowego roku powiększemy znacznie format naszego pisma, a drzeworyty tu robione o tyle tylko będziemy pomieszczać, o ile tego wymagać będzie rzeczywista potrzeba objaśnienia opisu ubiorów w samem piśmie znajdującego się. Powiększemy także ilość krojów dotąd dawanych, dostarczanych nam z najpierwszych Magazynów tak Paryzkich jak Warszawskich z któremi już zawarliśmy stosowne umowy, a odrobionych na prasie litograficznéj umyślnie w tym celu przez Redakcją zaprowadzonéj.

O części literackiéj nie robiemy żadnéj wzmianki, zapewnić tylko możemy, że nie zaniedbamy żadnych starań, dążących do rozszerzenia jéj zakresu i pożytku, płynącego z przyjemnego i nauczającego czytania. Wiedzeni nie zazdrością ani niechęcią do nowych pism, stawającym z nami na polu jednej pracy, przed laty sześcioma zupełnie zaniedbanéj, a przez nas podniesionéj do stanowiska jakie obecnie zajmuje, życząc przeciwnie choćby z własnym uszczerbkiem jak najpomyślniejszego im rozwoju, czuliśmy się niejako w obowiązku, w kwestji téj wystąpić z własnem zdaniem, aby się wytłumaczyć przed światłą Publicznością, dlaczego w wydawnictwie pisma naszego, raz obranego niezmieniamy kierunku.

Dla dogodności Prenumeratorów Tygodnika Mód, obowiązujemy się załatwiać wszelkie sprawunki bez żadnéj różnicy, nietylko w Warszawie jak dotąd miało miejsce, ale i w Paryżu, do czego już zawiązaliśmy potrzebne stosunki.

Cena i warunki prenumeraty pozostają te same.

W Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50, na prowincji półrocznie rs. 3 kop. 75. W Cesarstwie dopłaca się na kopertę rs. 1.

J. K. Gregorowicz

Redaktor Główny.

SERCE I ROZUM MAGDALENY

POWIEŚĆ,

PRZEROBIONA Z FRANCUZKIEGO.

I.



Pewnego wieczora w Grudniu koło godziny siódméj, siedziałyśmy z kuzynką przy oknie i niecierpliwie patrzały na śnieg gęsto padający w pałacowym dziedzińcu. Miałam dwadzieścia dwa lat a Ludwika siedmnaście. Widzę ją jeszcze — w jedwabnym szlafroczku blado-różowym; układne jéj ramiona i piękna główka jasnowłosa odbijały na téj sukni jak biała lilia na róż wieńcu. Powiedziałam jéj że zachwycająco wygląda, a ona uśmiechnięta pobiegła przejrzyć się w lustrze, potem wróciła i oparłszy twarz o szybę, — rzekła z westchnieniem.

— On nie przyjdzie....

Na pocieszenie mówiłam jéj o szczęściu jakie ją czeka, o strojach, o wesołem życiu jakie prowadzić będzie mogła po ślubie; lecz ledwie mnie słuchała. A gdyby mi się nie podobał! — rzekła; bo pomyśl tylko, Magdaleno, jesteśmy już prawie połączeni a nie znamy się jeszcze. I nagle zadrżała.

— Patrz to on, zawołała, to Robert!

Wrota zakrzypnęły ciężko, powóz wjechał na dziedziniec i stanął pod gankiem, tuż pod oknami naszemi. Mężczyzna szybko wyskoczył, ale osłona ganku widzieć go nam niedozwoliła. Ulotny rumieniec rozjaśnił blade zwykle lica Ludwiki.

Nie śmiem się pokazać, wzruszonym szepnęła głosem: bo to przeznaczenie moje w rysach tego człowieka a za chwilę stanie przedemną!

— Czegóż się obawiasz? rzekłam na to: wszakżeś wolna?

Jednakże drżałam jak ona. Małżeństwo Ludwiki z Robertem Wall, od tak dawna postanowione, wszystkim naszym przyjaciołom poufnie oznajmione, miało w oczach moich znaczenie rzeczy dokonanéj, a przecież Ludwika i Robert nigdy się jeszcze nie widzieli. Ojcowie ich, od dzieciństwa zażyli przyjaciele i zjednoczeni w zawodzie, razem zaczęli pracować. Później, z powodu klęsk poniesionych, rozeszli się, ale dawna ich przyjaźń pozostała w całéj mocy. P. Wall pojechał i osiadł w Nowym Yorku z synem czteroletnim natenczas chłopcem. Stryj mój, pozostał we Francji i kilkakrotnie, pomimo rozdzielającéj odległo-

ści, oddał mu takie usługi, jakich wzniosła dusza zapomnieć nie zdoła. Urodzenie Ludwiki, którą matka jéj życiem opłaciła, wywołało między stryjem moim a p. Wall, owdowiałym także od lat kilku, nowy związek, potężny ale bolesny. Sierotka od pierwszego dnia, w myśli tych ludzi, przeznaczoną została na towarzyszkę Roberta, a to małżeństwo skojarzyć mające w jedną rodzinę dwa życia, tak podobnie doświadczone, stało się jedynem marzeniem ich i celem głównym. Ludwika i Robert w miarę rozwoju życia uczyli się wzajemnéj miłości.

Kłopotliwe ciągle interesa p. Wall trzymały go długie lata z dala od Francji, a kiedy uczuł się w możności powrotu, śmierć go nagle zaskoczyła. Robert, zmuszony zająć się kłopotami bogatéj puścizny, ujrzał się w konieczności pozostania jeszcze w Nowym Yorku kilka samotnych miesięcy; pamiętał jednak ostatnie życzenie ojca i usunąwszy przeszkody, pierwszą myślą jego była Francya, młoda narzeczona i owa nieznana rodzina, wyczekująca za nim niecierpliwie.

Słysząc codzień rozmowy o Robercie, Ludwika przywiązała się nieznacznie do niego tylu silnemi i subtelnemi węzłami, że czułaby się nieszczęśliwą i wydziedziczoną, gdyby jéj oznajmiono, że to małżeństwo niemożebnem się stało. Jednakże nagła boleść ogarnęła ją gdy ujrzała Roberta. W cóż się obrócą drogie jéj marzenia? Byłże ten młodzieniec takim jak sobie marzyła? Jegoż to kochała od tak dawna z taką niewiadomością i wiarą? Wprawdzie wolną jeszcze była, ale mogłaż korzystać z téj wolności? Czy miała rzeczywiście władzę i moc wyrzeczenia się nagle tylu marzeń, snów cudnych i nadziei co wątek jéj życia składały? Czuła ona niewyraźnie, tak samo jak ja, że wymknęło się jéj przeznaczenie mimowolnie i że zapóźno już było cofać się od niego.

Czule ją kochałam. Dziesięć lat przeszło żyłyśmy jak siostry, od dnia kiedy mnie stryj biedną sierotę przyjął w dom swój z miłosierdzia. Znałam wszystkie myśli Ludwiki a serce moje biło takiém samem jak jéj uczuciem. Patrzyłyśmy na siebie nic nie mówiąc.

— No! rzekła nareszcie, lepiéj zaraz niż późniéj.

Wzięła mnie za rękę i zeszłyśmy powoli. Zatrzymała się przecież jeszcze, na progu saloniku, gdzie znajdowało się kilku krewnych i starych przyjaciół, alem odsunęła zasłonę u drzwi i popchnęłam ją naprzód.

Ujrzałyśmy Roberta Wall przed sobą stojącego koło kominka i pochylonego trochę ku memu stryjowi. Na pierwszy rzut oka, nie wydawał mi się pięknym a jednak to nieregularne oblicze opasane gęstym czarnym włosem, uderzyło mnie cechą woli i siły. Stryj przedstawił go córce swojéj i poszli rozmawiać we troje. Że zaś byli sobą niezmiernie zajęci, spojrzenie Roberta nie zatrzymało się na mnie ani chwili i mogłam więc przypatrzyć mu się swobodnie. Średniego był wzrostu, smagły i krzepki, dumnego trochę wejrzenia; ale chwilami coś czułego i miłego ożywiało nagle trochę zimny wyraz jego oczu. I uśmiech jego tchnął także szczególną słodyczą co mu wielki wdzięk dawało. Stryj mój wypytywał go jakie życie prowadził w Stanach Zjednoczonych, a on odpowiadał szczerze i sumiennie, opisując prostemi lecz malowniczemi wyrazami kilka przygód osobistych, to uciesznych, to krwawych, a wszystko takie że dawało nam dokładne pojęcie o tych dziwacznych obyczajach, gdzie siła osobista często więcéj znaczy niż prawo, gdzie każdy walczy samopas, z własnem narażeniem, wśród tłumu zmieszanych ludzi i zawikłanych interesów. Głównie uderzała mnie w nim obojętność, wzgarda nawet ludzkiego życia. Od dzieciństwa rzucony w te walki nielitościwe i zacięte, w których najdziksze samolubstwo często płynie tylko z instynktu zachowawczego w niebezpieczeństwie nawyknął nie lękać się śmierci ani swojéj, ani cudzéj; była to gra, stawka, nic więcéj.

Wpadłszy niespodzianie do naszego paryzkiego salonu, Robert Wall nie wyglądał w cale pospolicie, nie było w nim nic excentrycznego, ni dążenia do wrażeń, ale jakiś smak na wpół dziki, budzący zajęcie. Niekiedy, gdy opowiadał jakie zdarzenie z przeszłego życia, oczy mu się roziskrzały nagle, głęboka marszczka wyrzynała się między brwiami i czuć było że gorące namiętności, kryje spokój poważny téj twarzy. Mimowolnie obróciłam się wtedy ku Ludwice, wątłą swą postawą budzącéj obawę, aby mogła przejść życie równym krokiem z tym młodzieńcem. Wystawiałam go sobie zupełnie innym, mniéj statecznym, podobniejszym do Ludwiki, uosobionego wdzięku i słabości. — Ileż to razy malowałyśmy sobie z Ludwiką Roberta!

Listy p. Wall, pełne tryumfującéj dumy ojcowskiéj dostarczyły wiele rysów tego wymarzonego ideału, a młoda wyobraźnia nasza dopełniła go, a raczéj przerobiła wedle własnéj fantazji. Z wielką tedy ciekawością uważałam go tego wieczora.

Siedział on przy Ludwice, uśmiechałam się mimowolnie jak ona słuchając go, szybko o mnie zapomniała. Bo rzeczywiście cóż ja wówczas dla niéj znaczyłam? Wtenczas pierwszy raz uczułam gorycz mego samotnego sieroctwa, a żadnéj nadziei na przyszłość. Do téj pory wdzięczność dla stryja, przywiązanie do Ludwiki zapełniały mi serce, nie sądziłam żeby mogło przyjść inne nowe uczucie; ale widok tego młodego szczęścia, rodzącego się przy boku moim, budził we mnie dziwny niepokój. Oparłszy się na krześle stryja, roztargnionem okiem poglądałam na cichą partję wista; patrzyłam jak gracze zbierali padające karty i słuchałam szmeru rozmowy Ludwiki i Roberta. Cóż mówić z sobą mogli?

Długi czas tak upłynął; potem, gdy stryj wezwał mnie żebym zaśpiewała, zerwałam się skwapliwie, rada że się pozbędę niepojętego znudzenia i biorąc nuty na los, wpadłam na wyjątek z *Alcesta*. Dziwne jakieś wzruszenie, jakieś uśpione dotąd zdolności ocknęły się wtedy w zakłóconéj przeczuciami duszy mojéj, pod tchnieniem genialnego Glucka, znalazłam na oddanie nieśmiertelnych żalów Alcesta, brzmienia jakich dotąd nieznałam w sobie, i łzy mi się cisnęły. Kiedym przypadkowo podniosła oczy ku źwierciadłu, naprzeciwnéj ścianie w cieniu zatopionemu, spostrzegłam oczy Roberta utkwione we mnie z wyrazem głębokiego podziwu i uwielbienia. Aż drgnęłam z dumy, ale w téj saméj chwili nieprzeparta jakaś obawa umysł mój owładnęła i nagle śpiew przerwałam.

Wiele lat upłynęło od dnia tego, nie powetowane zaszły wypadki, srogie bóle i zgryzoty rozdarły mi duszę, nie mogłam jednak zapomnieć tego pierwszego

spojrzenia, pochwyconego w zacienionem źwierciadle a nie domyślałam się wtedy złowrogiéj jego mocy.

Robert przyszedł do nas nazajutrz i w dni następne. Wkrótce przybrał wśród rodziny postawę wyraźną konkurenta. Stryj mój najmniejszego nie czynił zarzutu tym nieustannym odwiedzinom. Trzeba przecież żeby się poznali ci młodzi ludzie, nim się połączą na wieki. Zresztą Ludwika nie ukrywała i nie starała się zwalczać żywéj sympatji, co ją ku Robertowi pociągała.

— Byle mnie kochał! mawiała czasem uśmiechając się, a ta nieufność wskazywała pierwsze miłości objawy.

Robert codzień stawał się droższym dla nas wszystkich; każde z nas ulegało wpływowi téj żywéj i czułéj istoty, silnéj lecz łagodnéj woli, panującéj bez walki. Życie jego upływało przy naszem ognisku, w rannych godzinach zaledwie raczył rzucić okiem na okazałe i ciekawe szczegóły Paryża; ważnemi zaś były dla niego te tylko chwile, które przepędzał w domku przy ulicy Grenelle, z Ludwiką i ze mną. Przychodził zwykle koło trzeciéj godziny; zaledwie wszedł, musiał nam zaraz opowiadać szczegółowo wszystkie swoje wycieczki i czynności ranne. Wymagał też od nas sprawy z wielkich wypadków zaszłych od wczoraj. Niekiedy braliśmy książkę i jedno z nas czytało głośno, lecz w krótce tysiączne uwagi, pytania, szaleństwa i śmiechy krzyżowały się między nami, a czytanie ustawało niedokończone; wszelkie wizyty były nam rzeczą najprzykrzejszą, bo rozstrajały naszą zażyłość. Zachowuję dotąd niezatarte wspomnienia tych godzin a cała gorycz mego życia nie dozwalała mi przeklinać ich słodyczy i miłego wdzięku.

Wieczorami chodziliśmy do teatru albo na koncert jaki, albo jeżeliśmy nie wychodzili, siadałam do fortepianu i śpiewaliśmy, ja i Ludwika, gdy stryj mój grał zwyczajnie w wista. Najmilsze to były dla nas chwile. Nie raz zdarzało mi się, podczas gdym śpiewała, spotykać znowu oczy Roberta utkwione we mnie z szczególnym wyrazem. Ale były to szybko mijające chwile a niepokój przez nie budzony nie trwał długo. Robert wszakże mało mnie wychwalał i rzadko mówił o moim głosie. Raz tylko kiedym mu wyrzucała roztargnioną oziębłość, gdy śpiewała Ludwika, uśmiechnął się znacząco.

— „Muzyka dla mnie nie jest sztuką, mówił, ale za namiętność ją uważam, ty także ją miłujesz, Magdaleno.— Ludwika stała koło nas, nie dodał nic więcéj.

Powoli zaczęłam wyczekiwać przybycia Roberta z równą niecierpliwością jak Ludwika; kroki jego poznawałam rychléj jak wszyscy. Nieokreślone jakieś przeczucie ostrzegało mnie o jego przybyciu. Nie umiem tego powiedzieć, dla czego tak żywe uczucia i tak nowe niebudziły we mnie istotnego niepokoju. Niedoświadczenie moje w miłości sprawiało to złudzenie, nie zatrważało mnie wcale to wzmagające się w duszy méj uczucie. Wszakże Robert miał być mężem Ludwiki, bratem prawie, więc kochać go powinnam? Może też jakaś słabość tajemna błąd mój przeciągała: ulegałam zapewne nikczemnemu popędowi, co nas skłania do zamykania oczu na niebezpieczeństwo przeczuwane a którego określić i badać nie śmiemy. Zresztą życie płynęło nam tak mile tygodnie mijały a nikt ich nie myślał rachować. Stryj kazał urządzać cichaczem drugie piętro w domu, przeznaczając je dla młodego małżeństwa; przygotowania do ślubu robiły się nieznacznie, mówiono o nich pół głosem, jakby się obawiano zakłócić szczęście zbyt głośnem jego objawieniem; ale co chwila mimowolne alluzje przypominały wszystkim tę sprawę. Ludwika promieniała, a ja radabym uwiecznić ten pokój czarowny.

II.

Jednego wieczoru byłyśmy z Ludwiką w naszem mieszkaniu, zajęte ubieraniem się: mieliśmy jechać na Włoską operę, ale zajęte rozmową zmarnowałyśmy właściwą godzinę i zawstydziłyśmy się wielce kiedy stryj kazał zawiadomić, że czeka na nas na dole. Pobiegłam do mojéj stancji i rychło byłam gotowa. Ludwika mniej zwinna staranniejsza może w stroju odemnie, opóźniła się bardzo. Chciałam jéj dopomódz, ale nieprzyjęła téj ofiary. Przyślij mi Justynkę rzekła, prędko, spiesz się! i zejdź uspokoić niecierpliwość tych panów.

Zbiegłam pospiesznie i zawoławszy pokojówki do Ludwiki, przeszłam szybko pierwszą salę i wpadłam do buduaru. Zdziwiłam się że tam niebyło światła, sądziłam tedy że stryj i Robert poszli na fajkę do cieplarni. Weszłam po omacku i oparłszy się łokciami na kominku, wyciągnęłam nogę ku głowniom.

Stałam tak chwilę, gdy lekki szmer przejął mnie drżeniem i postrzegłam blisko siebie jakąś postać nie wyraźną, ruszającą się w ciemności, a głos cichy, tak żem go ledwie poznała, wyszeptał.

— Magdaleno, droga Magdaleno, pozwól że się z tobą rozmówię, czas nagli. Spóźniłem się może za nadto...

-— Co! to ty, Robercie? zawołałam po pierwszem zdziwieniu, przestraszyłeś mnie doprawdy. Cóż tu robisz, w ciemności, jak spiskowiec jaki?

— O tobie myślałem — rzekł poważnie i na prawdę widzę że sam Bóg cię tu sprowadza. Kiedym cię tu ujrzał idącą ku mnie, jakby na głos tajnego mego wołania, kiedym poznał twój chód giętki i wolny, te wielkie oczy co mi nawet ciemności rozświecają, powiedziałam sobie że to pora przemówienia i że wszystkie niepewności i niepokoje usunąć należy. A jednakże, widzisz Magdaleno jak drżę... Boże drogi! więc nic nie odgadłaś? nic nie uczułaś?... Jeżeli wiesz moją tajemnicę, to zmiłuj się i powiedz. Czyś mnie nie zrozumiała? Czyś nie wyczytała całéj duszy méj w oczach moich.

Osłupiałam na te słowa; nieśmiałam ich zrozumieć.

— Co mówisz?... wybąkałam pomięszana; Ludwika... Ludwika kocha cię... wiesz o tem dobrze. Oszalałeś chyba!...

— Może — odrzekł spokojnie; alež powinnaś zlitować się nad szaleństwem mojem. Gdybyś wiedziała ilem wycierpiał, kiedym poczuł miłość tę powstałą i wzmagającą się gwałtownie!

— Robercie, — rzekłam surowo i usiłując ukrzepić głos pomimo gwałtownego bicia serca, — ani słowa więcéj! Każde słowo twoje to ciężka obraza.... Jak nie zrozumiałeś tego? Jak śmiesz mówić mi o miłości?

— Przebacz mi — poszepnął smutno, jam biedny szaleniec, samaś to powiedziała, ale cię szanuję i uwielbiam... Posłuchaj mnie; pozwól mi wyznać.... Mogęż oddać Ludwice to serce, które do ciebie należy? Byłożby to uczciwie, powiedz? — Nie mogę uczynić tego. A wreszcie nie wiem nawet czy ją obchodzę, czy ona dba o mnie? To dziecko jeszcze; któż się kocha w jéj wieku? Kto zdolny kochać się? Wolnym jeszcze, Magdaleno, bacz na to i zastanów się, a kocham cię z całéj duszy.

— Dość tego, zawołałam odpychając go, bo ledwie nie rzucił mi się do nóg; — słuchać cię nie mogę i nie chcę. To zdrada, zbrodnia niegodziwa względem siostry mojéj a dla mnie ubliżenie, obelga.

Zwróciłam się ku drzwiom do wyjścia.

— Nie chcesz mnie wysłuchać! — zawołał z nagłym wybuchem w głosie i pochwycił mnie za obie ręce, ściskając je silnie. Sroga bez litości jesteś, Magdaleno! ale wiedz o tem, że miłość taka jak moja nie traci odwagi, nie upada. Kochać cię będę mimo twéj woli i zmuszę cię abyś mnie pokochała..... Szydzić i drwić ze mnie będziesz, wiem o tem; ale ty nie znasz jeszcze co to miłość. Sądzisz że takie pęta można zawiązać lub zerwać dowolnie, śmiejąc się i wzgardliwie kiwając głową!... Sądzisz że można powiedzieć mężczyźnie: Kochaj tę, niekochaj téj! Miłość nie wybiera Magdaleno: spada ona z góry, przygniata nas, i gnębi. Nie śmiej się nierozważnie, to cię nieszczęścia nabawić może.

Kiedy tak mówił, uczułam się pomięszaną, na pół już zwyciężoną. Płomienne te słowa, ten poryw, wybuch dotąd nie znany napotykał tajemnego wspólnika w słabości serca mego; alem się oparła saméj sobie i udając oziębłość wzgardliwą, wydarłam ręce, które ściskał jeszcze. W téj chwili, promień światła błysnął między dwoma drzwi zasłonami i szelest sukni po dywanie przyległego salonu ostrzegł nas o zbliżaniu się Ludwiki.

— Magdaleno — rzekł porywczo — jedno słówko jeszcze, jedyne! Czemby ci miłość moja ubliżała, jeżeli Ludwika na nią zezwoli? Pozwól mi....

— Przez Bóg żywy! milcz i przestań — zawołałam z trwogą! Podniesiona zasłona ukazała nam wesołą twarzyczkę Ludwiki.

— Cóż-to! siedzicie tu, we dwoje po ciemku? — rzekła prostodusznie; potem, nie postrzegając naszego pomieszania: Ojciec mój czeka; daléj, spieszmy się! Pewnoście tu drzemali oboje — dodała biorąc pod rękę Roberta i prowadząc wesoło.

Poszłam za niemi wolniéj, rada z téj chwili samotności, bom mogła ukryć czerwoność lica.

Wieczór ten w operze włoskiéj był mi najprzykrzejszym jak zapamiętam. Świetna muzyka *Cyrulika*, szalona wesołość jego, draźniły wstrząśnione nerwy moje; spokojność i pewność Ludwiki rozdzierała mi serce. Robert udawał że tylko mną zajęty, że na mnie tylko patrzy, jak by to obojętnem było dla niego, że to uważano. Drżałam żeby stryj i Ludwika sama nie postrzegli nareszcie tego udawania; zdawało mi się niekiedy że stryj mój nadzwyczajnie smutny i wmawiałam w siebie że już się domyśla naszéj tajemnicy: w najprostszych jego słowach zdawało mi się widzieć docinek albo wyrzut. Spojrzałam na Ludwikę a widząc ją uśmiechniętą, mimowolnie czułam rozrzewnienie; pośród tego wszystkiego oburzałam się na jakiś zachwyt wewnętrzny. Cierpiałam a byłam szczęśliwą. Niewypowiedziana jakaś radość napełniała całą istotę moją a jednak cóś przykrego i dręczącego, szczęście to moje zatruwało.

Widowisko skończyło się nareszcie. Potrzeba mi było ciszy, ciemności, samotności nadewszystko. Zaraz po przyjeździe do domu, udałam utrudzenie i pobiegłam zamknąć się w moim pokoiku. Tam, padłam na kolana i zakrywszy twarz rękami, usiłowałam skupić myśli moje. Błagałam Boga o radę, chociaż trapiło mnie tylko nagłe brzemię gnębiących wzruszeń, niesforna potrzeba wzięcia niebo za świadka szczęścia, z którem nie mogłam się zwierzyć nikomu. Niewiem czy się zjawił kiedy tak gwałtowny wybuch miłości; myśl kołysała się, unoszona wirem palonych radości, rozkoszy niewypowiedzianych. Kochać! być kochaną! Słowa te otwierały mi nieskończone przestrzenie, w które dusza moja wzbijała się jakby na skrzydłach i męczyłam się wysiłkiem, żeby ją dopędzić lub powstrzymać. Jednocześnie litość ogarniała mnie nad przeszłem życiem mojem, i latami powoli okwitłemi w pokoju i ciszy serca. Zdawało mi się żem dopiero teraz zrozumiała wartość, cenę życia i że wszystko, obowiązki, godność, szczęście streszczały się w radości żem była kochaną. Cała noc tak upłynęła. Zdrzemnęłam dopiero nad rankiem.

Co się we mnie działo przez te krótkie chwile niespokojnego snu? jaki przewrot tajemniczy odbył się mimo wiedzy mojéj? Po obudzeniu się wrażenia moje były zupełnie zmienione. Zachwycenie wczorajsze ustąpiło przed znużeniem i dziwna jakaś uciskała mnie niemoc. Wstałam i otworzyłam okno. Niebo było szare, a lodowaty deszcz ugodził mnie w twarz. Zamknęłam więc okno i drżąc rzuciłam się na łóżku; ociężałe powieki zamknęły się same, alem zasnąć już nie mogła. Zmięszane myśli snuły się ociężale a nie mogłam powściągnąć téj ciągłéj gorączkowéj działalności. Wśród tych sprzecznie wikłających się myśli, najboleśniejszem najnieznośniejszem było wspomnienie o Ludwice. Daremnie usiłowałam odtrącić je; wracało ciągle i rumieniłam się żem mogła myśleć o szczęściu z jéj szkodą; wyrzucałam sobie cierpko tę zbrodniczą prawie nadzieję, którą dusza moja nagle powzięła, a jednakże niemogłam odważyć się na poświęcenie dla niéj serca mego, bo wiedziałam nareszcie że kocham i jaką miłością.... Przypominałam sobie kolejno wszystkie godziny od przybycia Roberta do nas; szłam za Ludwiką ciągle przez te długie dni pasmo, śledząc wskazówek, dopatrując objawów i pragnęłam wmówić w siebie że ona nie kochała tyle i tak jak ja. Powtarzałam sobie słowa Roberta, które mnie uderzyły. To dziecko jeszcze; któż kocha w jéj wieku? — Ale to nie uspakajało mnie. Zanadto dobrze znałam miłującą i delikatną naturę Ludwiki, ową głęboką czułość która często, dla trosk drobnych, przerażała nas a pomnąc na te wszystkie rzeczy, palące łzy spadały mi z zamkniętych oczu.

W téj chwili, lekkie tchnienie owiało mi czoło: otworzyłam oczy i ujrzałam Ludwikę pochyloną ku mnie.

— Co tobie? płaczesz? — rzekła życzliwym niepokojem. Może cię smutek jaki trapi? czyś nie chora?

— Nie, odrzekłam siląc się na uśmiech. O tobie myślałam, droga Ludwiko. Wiesz, że trzeba nam

będzie rozstać się niezadługo? Nowe uczucie rozdzieli zapewne nasze życia jak i serca.

— Dajże pokój złośnico, takim gadaniom! zawołała porywczo; czyżbym mogła żyć bez ciebie, nie kochać cię, nie zwierzać ci się, jak dotąd ze wszystkich myśli moich? — Patrz, niewdzięczna, jaką chwilę wybrałaś żeby mi tak przykre mówić rzeczy... Przynoszę ci padarunek ślubny.

I wcisnęła mi w ręce związaną paczkę papierów, którą wzięłam machinalnie. Każde jéj słowo, pewność jéj, wesołe i czułe usposobienie raniło mi serce. Jeżeli pozbawię ją szczęścia — pomyślałam, któż ją pocieszy? A ona, domyślając goryczy myśli moich, ujęła mnie czule za ręce.

— Słuchaj-no, mówiła z miłym uśmiechem, pamiętasz ten szary domek, osłoniony winogradem i ukryty pod kasztanami, w którym rozmiłowałaś się tak szalenie podczas pobytu naszego w Vannes?

— O widzę go jeszcze — odrzekłam.

— I otaczającą go pustkę i wąziutki ruczaj, dotykający miejscami do ścieżki?

— Pamiętam to wszystko. Lubiłam tę smutną i zaciszoną siedzibę.

— Otóż! — zawołała Ludwika uderzając radośnie w dłonie, masz tu drogi ten domek! Przynoszę ci go wraz z ogródkiem księżym, który ci się tak podobał; masz to w tym zwoju papierów. Ojciec ułożył się z właścicielem i nabył go. Ale co miał zrobić z tem prawdziwem gniazdkiem do marzeń!... Dobre dla takich głów romansowych jak nasze. Prawda co za szczęście? Kiedy przybędę z Robertem odwiedzić cię w tem dziedzictwie twojem! Przyjmować nas będziesz wdziękiem i uprzejmością królowéj, jaka cię odznacza, mościa panno.... Chciałabym już być zamężną! — A wiesz co? — dodała poufale, zdaje mi się że to rychło będzie; ojciec mówił mi wczoraj, że pragnie dokonać tego przed latem.

— Poruszyłam niespokojnie papiery rozrzucone na łóżku.

— O! wszystko tu jest w porządku, dodała sądząc że chce je przeczytać. Oto tytuły twojéj własności. Uściskajże mnie, Magdaleno; powiedz, że to cię cieszy; powiedz że mnie kochasz.

Bo widzisz ja cię uwielbiam, chciałabym abyś szczęśliwą była... jak ja, moja droga!

(d. c. n.)

TRIOLET.

Codzień mędrszym już się staję,
Niech sobie miłość nie tuszy:
Com dziś kochał — dziś przestaję,
Co dzień mędrszym już się staję.

Na co kogoś chować w duszy,
Co spokoju mi nie daje?
Niech sobie miłość nie tuszy,
Codzień mędrszym już się staję.

WSPOMNIENIA
Z MOICH PODRÓŻY.

I.

W NOWYM YORKU I NA STATKU PAROWYM.



Nowy York malutki karzełek przed dwustu laty, dziś olbrzym dziecię zapowiadający straszne dziwo między miastami, cóś w rodzaju bajecznych wielkoludów pomiędzy ludźmi, wszystko wśród swych murów rozwija na olbrzymią skalę, handel, przemysł, naukę, oświatę, zyski, straty, nawet przyjaźń i nienawiść.

Lat temu przeszło dwieście Nowy York był malutką osadą, złożoną z tysiąca zalewie mieszkańców: wody jezior i rzek pobliskich odbijały w swych zwierciadlanych nurtach, dziką pobliską przyrodę: szum płynącéj fali szedł w zawody z pokrzykami nadbrzeżnego i codziennego ptastwa; echa wzgórz okolicznych wtorowały straszliwym głosom drapieżnego zwierza, a gdy noc okryła całą okolicę, i na niebieskim lazurze przestrzeni bez końca, zamigotały niebieskie światełka, zdawało się że duchy dawnych mieszkańców szmerem liści i kroplistéj rosy, opowiadały sobie dziwy o białych przybyszach.

Z postępem czasu osada rosła, wzmagała się w pośród pierwszych budynków wytryskiwał gmach wyższy i okazalszy, do niego przytulały się domek przy domku, odznaczały się ulice, zaokrąglały place, rozwijały ogrody i zajmując coraz większe przestrzenie, rąbiąc, karczując, osuszając, równając, osada po latach dwustu zabrzęczała jak ul pszczolny miljonową przeszło ludnością, idąc w zawody z Paryżem a nawet Londynem, co do przestrzeni i cywilizacyjnego ruchu. Wzrost ten kolosalny miasta szczególniéj przedstawia się po roku 1840, od téj bowiem daty, każdego niemal roku przyrastało miastu ludności około 35,000, tak że Nowy York, mający wówczas 300,000 mieszkańców obecnie liczy ich przeszło miljon. Jeżeli w tym stosunku rozwijać się będzie daléj, to wprędce wszystkie stolice starego świata zostawi daleko po za sobą. Dziś już jest labiryntem trudnym niezmiernie do poznania i rozmiarkowania się, cóż to dopiero będzie za lat sto a nawet prędzéj choćby za dwadzieścia. Pomimo jednak tak świetnych widoków przyszłości, brak jest Nowemu Yorkowi elegancji tyle zalecającéj Paryż, téj staranności w upięknieniu każdego zakątka, jaką się słusznie chlubi stolica Francji. Znać tu wszędzie gospodarza świeżo osiedlającego się, któremu nie tyle idzie o wdzięk siedziby ile o rzeczywisty pożytek. Wszystko jest obszerne, kolosalne, wygodne, ale nic więcéj, wywczasujesz i nakarmisz ciało, ale myśl duszy, drganie serca, utopisz na każdym kroku, w przepaści interesów i gwaru starunku ludzkiego.

Zajęty temi myślami w dzień świąteczny stałem przy ścianie murowanego parkanu, oblepionego ró-

żnorodnéj natury olbrzymiemi afiszami, z których każdy zachwalał cóś nowego, przesadzając się w pochwałach swego towaru, specyfików, widowisk, restauracji, parowców i różnych innych podobnych szczegółów. W tyle za mną huczały fiakry i omnibusy, szumiał gwar rozmowy, a ja stałem zadumany krążąc oczami po afiszach a myślą daleko po cichych wioskach nadwiślańskich brzegów, okrytych gęstemi gałęziami wierzb i topoli. W téj wędrówce oczów nie myśli, przypadkiem zatrzymałem uwagę nad afiszem przedstawiającym pieniący się na wodzie parowiec, przepełniony licznem gronem podróżników. Pod spodem jego wielkiemi literami ułożonemi z lin, masztów, wioseł i ludzi, stał napis: *Nadzwyczajna wycieczka wielkim parowcem do doliny Mont Hermon z muzyką, tańcami i restauracją.* Niżéj mieściła się zachęta do korzystania z tak pięknéj sposobności użycia rozrywki, a w samym końcu pomieszczono cenę za przewóz, którą zaledwie zacząłem wekslować na franki, gdy uczułem rękę na ramieniu i dobrze znany mi głos jedynego mego przyjaciela w tych odległych stronach, Francuza Jakóba Vellion, z którym zapoznałem się jeszcze w Paryżu.

— „Dzień dobry mój drogi“ — odezwał się poczciwy Jakób — „jakże się cieszę że cudownym niemal wypadkiem spotkałem cię w tym ulicznym zgiełku. Chodź! chodź!“ — mówił daléj ujmując mnie z żywością pod ramię, mam dwa wolne miejsca na statku idącym do Mont Hermon, pojedziemy więc, tylko trzeba się spieszyć, bo wszystko przepadnie.“

— „Czy tym co afisz ogłasza, przy jakim mnie zastałeś?“

— „Fe! tą oskubaną kaczką jechać“ — zawołał Francuz wzruszając pogardliwie ramionami — „pojedziemy mój drogi przepysznym parowcem, z flagą trójbarwną, wspaniałym jak łabędź z rozpiętemi skrzydłami, a szybkim jak wiatr. Mój statek ma kapitana, mego bliskiego kuzyna przez matkę. Z poczciwcem zapoznałem się przypadkiem i tak mnie od razu polubił, że wczoraj cały dzień kąpał w szampanie, a na dziś zaprosił na wycieczkę. Naturalnie przyjąłem, z warunkiem jednak, że ty nam będziesz towarzyszył.“

Poczciwiec nie wachał się chwili i ot masz ze mnie wierzytelnego posła kapitana Fordon'a według legitymacji rodzinnéj, mego kochanego wuja jako męża mojéj rodzonéj ciotki. Jedziemy więc a ja z podwójną radością. Bo wystaw sobie moje zmartwienie, jakiego nabawiłeś mnie wczesnem wyjściem z domu, a zarazem uradowanie gdym cię niespodzianie przydybał na ulicy...“

— „Więc dziś byłeś u mnie?“

— „A jednakże“ — odrzekł Jakób coraz bardziéj przyspieszając kroku — Stara wasza Magdalena wyszczerzyła na mnie wołowe swoje oczy, potem przysłoniła je ręką, a poznawszy kto jestem, wybełkotała że cię nie ma w domu. Byłbym ją ugryzł za to gdyby była tłuściejszą, ale kości zęby moje nienawidzą. Na ten więc raz dałem jéj pokój, ale jeszcze raz zrób mi takiego figla, to jéj przypomnę dawnych Irokezów, Huronów, Mohikanów, choćby nawet Hunnów i Awarów. Bo tylko wystaw sobie, przejażdżka gratys na pysznym parowcu, objad gratys, szampan gratys, cygara prawdziwe hawańskie gratys i do tego kontradans z przecudnądziewicą na pokładzie statku i w dolinie także gratys. To cuda, królewskie życie, a tylko tylko że zupełnie nie ominęły ciebie, a mnie przez stratę twego towarzystwa o mało że połowy nie pozbawiły przyjemności. Niech więc żyje wuj kapitan!

— „Dziękuję ci mój drogi“ — odrzekłem z czułością ściskając mu rękę — zawsześ dobry i poczciwy...“

— „Tylko bez tych romansów. Na teatrze życia, serce zawsze trzymaj za kulisami. Będzie mu tam cicho, wygodnie i zupełnie bezpiecznie.“ Wyprowadziwszy go w ciżbę ludzką, wydrwią go, wyśmieją, i jeżeli ma nogi i na nich nagniotki, to mu je tak zdepczą, że uszedłszy kilkanaście kroków zamazgai się, i ucieknie jak sufler do budki żeby w ciszy pół głosem i półgębkiem dawać światu znać, że jeszcze żyje i porusza się.

— „Ależ to okropne.....“

— „Nie! tylko prawdziwe“ — odrzekł Jakób.

— „Ależ mój drogi, twoje własne serce dla mnie, czego innego zupełnie dowodzi....“

Jakób wesołym śmiechem przerwał dalsze wywody, i spoglądając mi w oczy, mówił daléj z jednem zawsze ożywieniem:

— „Alboś się zakochał już w mamie Magdalenie, albo myślisz to zrobić. Fe! porzuć to.... — moje serce powiadasz, może jest jeszcze głupie, ale przynajmniéj ja o tyle już jestem mądry, że wiem iż serce to jak cegła, wapno, piasek i tak daléj, z których budowniczy, to jest rozum stawia budynki. Materjały te mądrze użyte, tworzą piękną harmonijną całość, czyli czyny co człowieka robią prawdziwym człowiekiem. Ale nudna to strasznie gawęda..... patrz co za cudna niewiasta! — jaka kibić, jaki wdzięk w poruszeniu! O! ty śliczna różyczko, z hesperyjskich ogrodów....

W téj chwili różyczka obejrzała się, a towarzysz mój zaniemiał niemogąc oczu oderwać od pięknéj nieznajoméj. Była to rzeczywiście piękność niepospolita, prawdziwie klasyczna, poważna, majestatyczna i z tym wyrazem twarzy nakazującym cześć i poszanowanie. Ubiór staranny, świeży a nawet kosztowny zdradzał wyższe jéj położenie majątkowe, a godność, składność w poruszeniach, przyzwyczajenie do salonu i władania. Spieszyła w stronę ku nadbrzeżu, przyspieszyliśmy więc kroku, ale wkrótce w pośród zebranego tłumu zniknęła nam zupełnie z oczu.

— „Miljon set....! — mruknął towarzysz — „przeklęta gawiedź połknęła mi moją huryskę. Zniknęła w niéj jak kamień w wodę wrzucony. Miljon set....! mój drogi, dopomóż mi, a musiemy ją odszukać choćby pod ziemią“.

— „Zgoda!— odrzekłem — ale siadajmy bo dzwonek już brzmi złowieszczym dźwiękiem, a maszynista trzyma rękę na przeklętéj piszczałce“.

— „Spieszmy więc“ — odrzekł poczciwy Jakób z pewną jakby niechęcią i przeciskając się przez tłum zgromadzony, po wielkich usiłowaniach zdołaliśmy się przecie dostać do statku. Kapitan przyjął nas z radością, ale nie wiele mógł zaprzątać się gościnnością bo służba wymagała ciągłego dozoru. Jedną ręką uścisnął nas a drugą podał cygara mówiąc:

— „Prawdziwe hawanna — palcie i bawcie się, a gdy wam dokuczy głód i pragnienie, bufet otwarty na wasze rozkazy. Héj! Tom! — zawołał na jednego z garsonów — „to są moi goście, rozumiesz?

— „Rozumiem kapitanie!—odrzekł chłopak o sprytnem obliczu, robiąc wojskowy ukłon ręką do czoła.

— „Kiedy rozumiesz, to pamiętaj o nich, a podziękuję ci paczką cygar co tak się lubisz o nie przymawiać.

— „Dobrze kapitanie, ale na zadatek przegryzłbym choć jednem“.

— „Masz figlarzu, ale pamiętaj“ — odrzekł kapitan grożąc mu palcem.

— „Dobrze — dobrze — nie zapomnę“.

Kapitan był to dobrze zbudowany mężczyzna, średniego wzrostu i średniéj urody, zakrawający coś jak na hulakę. Ale był to tylko pozór fałszywy, dawna barwa w morskich nabyta podróżach, które porzucił razem ze służbą na kupieckich okrętach, zaraz po swem owdowieniu. Czupryna gęsta cokolwiek kędzierzawa, długie wąsy i faworyty przypominały myśliwego wytykającego z gąszczu głowę, który mu włosy poczochrał a twarz podrapał. Długi, szeroki kołnierz od koszuli wyłożony prawie na ramiona, robił go bardzo podobnym do francuzkiego majtka. Kaftan obszerny ze świecącemi guzikami, nasuwał do myśli dostatniego kolonistę Niemca, a buty z długiemi holewami i srebrnemi ostrogami, węgierskiego huzara. Z ust niewypuszczał cygara przekręcając go to na lewą to prawą stronę, ani rąk z kieszeni, kiedy mówił lub wydawał rozkazy. W zamyśleniu lub odpoczynku ręce zakładał na piersiach.

Towarzystwo na statku było bardzo liczne, niezawodnie do siedmiuset osób wynosiło. Wszyscy bardzo wykwintnie poubierani, niemal balowo, szczególniéj kobiety którym na urodzie zupełnie nie brakowało. W środku obszernego pomostu, mieściła się muzyka złożona z kilkunastu wcale niezłych grajków, wygrywająca z bębnami, dzwonkami i żelazami skoczne polki, monotonne walce, i poważne kontredanse. Publiczność przechadza się, rozmawia, młodzież z sobą starsi znów z sobą, a koła maszyny warczą, para piszczy i syczy, fale wody bałwanią się pieniąc jakby do kipienia. Towarzysz mój wsparty głową o jeden ze słupków podtrzymujących dach, pomost osłaniający, poglądał po przechadzającym się do koła tłumie, upatrując zapewne pięknéj nieznajoméj, tak niespodzianie poznanéj i nagle zagubionéj: Ale nie było jéj nigdzie.

— „Miljon set...“ — szeptał niecierpliwy Jakób— „gdyby ją jeszcze dało się odszukać, dzień dzisiejszy byłby niezmiernie szczodry w swych dla mnie darach. Ale nie tracę nadziei, fortuna ma czasem swoje wybryki, a dla zakochanych lubi być niekiedy hojną...“

— „Dla zakochanych? — powtórzyłem z zadziwieniem — „już tak prędko, po jednem przelotnem spojrzeniu?

— „To też i zakochanie przelotne“ — odrzekł zagadnięty — „spojrzałem i podobała mi się, więc zbliżam się ku niéj, rozmawiam, przypatruję, wdzięk maleje albo rośnie, w pierwszym więc razie odkochiwam się, w drugim zakochiwam po uszy, wzdycham, jęczę, marzę, piszę sonety...“

— „Sir! odezwał się przerywając nagle, nowy nasz opiekun garson restauracyjny Tom— „Sir! śniadanie czeka na wasze rozkazy, oto karta, doborem potraw i napojów możemy się pochwalić.“

— „Dobra rada, pokarm pokrzepi mnie i... pocieszy“ — mruknął towarzysz sentymentalnie, ale kiedy staniemy w Mont Hermon?

— „W samo południe, za dwie godziny najdaléj.“

— „Daj więc dżynu, dwa rozbefy i butelkę Bordo...“

— „Dobrze Sir! ale kapitan bez szampana nie wypuści.“

I Tom pobiegł przygotować miejsce do posiłku, a my zapatrzyliśmy się w przechodzące obok nas Amerykanki migocące przeważnie białemi sukienkami.

(d. c. n.)

Kronika zagraniczna.

III.

Przystępujemy do uwag nad *poczuciem prawdy i piękna* u Szekspira.

Warto doprawdy podpatrzeć te otchłanie, w których pracuje duch Szekspira, warto przejrzeć się, jak wieszcz ten w dramatach swoich przelewa treść tak różnorodną i ciężką w dzieło piękności, jak ideje swoje potęguje całym zasobem wiedzy i genjuszu, jak dzieje, przyroda i społeczność otwierają mu serce swoje, jak duchem ogarnia wszystkie obszary rzeczywistości, jak się nurza w prawdach wiekuistych, jednem słowem, jak wszystko co się w dziejach ludzkości przejawia, co tylko porusza serce człowieka, rozkłada w swych dramatach nieprzemierzonym obszarem przed oczy nasze. Dramatyczny świat Szekspira jest obrazem własnego wnętrza artysty, własnym ideałem jego, a te zaś ideały są wcielonemi prawdami, prawdami rzeczywistości, ożywionemi tchnieniem i uczuciem piękna. Zachodzi tylko pytanie, w jakichże kształtach, w jakich kierunkach objawiają się jego ideały piękna i pod jaką formą działają na umysł słuchaczów.

Utrzymywano dotąd, że moralność była celem dramatów Szekspira. Zdanie to jest wręcz mylnem; bo jak dramat ujawniając istotę i życie ludzkości, uzacnia tem samem lub potępia człowieka, tak znowu bezwzględnego uszlachetnienia i potępienia żaden dramat Szekspira za cel główny niema i mieć nie może: morał szekspirowski istnieje tylko dla tego, że jest nieodzownym wynikiem istoty i życia człowieka. Nie morał lecz *prawda* jest celem dramatów Szekspira. Wszelkie typy i charaktery nabrały przez niego dopiero prawdziwą wartość i głębokie znaczenie, przezeń stały się wyrazem prawdy, spromieniejącéj się w ognisku *piękna*. Mówiąc o pięknie i konieczności jego w utworach sztuki dramatycznéj, nasuwa nam się mimowolnie długi spór przeciwników Szekspira o pięknie jego dramatów. Patrząc się na zbrodnie i zabójstwo, nikczemność i podłość, kłam i oszustwo przejawiające się tak często w dramatach Szekspira, nic łatwiejszego nad pytanie: nie są-że namiętności tego rodzaju wręcz przeciwne wszelkiéj sztuce? lub, możnaż stworzyć dzieło piękności z figur i osnowy szpetnéj i obrzydliwéj? nie będzież-to zamiast poezji najjałowsza proza? jakaż piękność wzrośnie z tego, co jest w sobie ohydnem i szpetnem? czy z dźwięków fałszywych złoży się czysta harmonja?... Wyznajemy,

(Dodatek).

że i my dostrzegamy u Szekspira objawy niedokształconego smaku, widzimy jak pełza nieraz, jak razi porównaniami wcale niewłaściwemi, lub błahą igraszką wyrazów, aleć to właśnie znamionuje ludzi mających więcéj geniuszu aniżeli dojrzałości i smaku. Albo, ileż-to razy listki i narostki, które byłyby w stanie zwichnąć wzrost i kształt ślicznego kwiatka, są u dębu igraszką siły i ozdobą wzrostu! — ciernie i chwasty zeszpecą ogródek zacisza, a jakżeż im strojno w uroczym pejzażu. Tak samo patrzeć się należy na brzydotę szekspirowską, na jego dowcipy i koncepta, na zagadki i dwulicowe przenośnie. Niepodobieństwem było dla Szekspira chcieć odbiegać od kierunku swego czasu, to przechodzi siły człowieka. Wiadomo z jak rubaszną naiwnością rozpisywali się ówcześni duchowni, jakto kobiety wieku szekspirowskiego przeniosły śmiałym dowcipem wszystko to, co tylko w dramatach szorstkim żartem nazwaćby należało. Wiadomo, że wtenczas humor rubaszny i pusta wesołość, były głównem znamieniem całego niemal świata; że mecenasi i mistrze sztuki średniowiecznéj, mianowicie włoskiéj, posiłkowali się krasą wyuzdanego dowcipu i że za ich wpływem przeszczepił się ten niesmak na cały świat ówczesny. Uległ mu więc i Szekspir, i nic dziwnego. Lecz stokroć dziwniejszem jest może to, że on pierwszy sprobował targnąć się na ową nienaturalność, rugując ją umiejętnem i bacznem użyciem języka ojczystego, którego sile młodzieńczéj żaden wybryk zepsutego wieku oprzeć się nie zdołał. Dziwnem zaiste jest zjawisko, że Szekspir zdołał zapanować nietylko nad ogólnem zepsuciem swego wieku, ale i wznieść się jeszcze nad niesmak włoskiéj szkoły, że próżność i brzydoty nigdy nie użył w celach płochych lub bezmyślnych: swawolę myśli kładł tylko w usta tych, których do uzupełnienia obrazu prawdy i piękna użyć musiał. Zresztą, nie bardzo liczny jest poczet figur u Szekspira odznaczających się zbyteczną swawolą w wyrażeniu, i nie może być nic bardziéj niedorzecznego, jak pomówić poetę o to, że główniejsze postacie stawił niemal na równi ze swemi błaznami! Wszelkie zdrożności i szorstkie zwroty języka mają swe wyłączne prawo bytu, jeżeli ich się użyje w charakterystycznem miejscu. Tam gdzie się piętrzą i krzyżują myśli, tam gra wyrazów sama przez się osłabić się musi; gdzie pomysł głęboki z językiem się pasuje, tam postać występująca nazbyt jasną i wydatną być nie może; gdzie wieszcz jest ciężki a obraz wielki, tam znów myśl brzemieniem swojem przeszkadza szczytności obrazu; Szekspir nie przyczepia nigdzie głębokich myśli do płytkich przedmiotów, wielkiego słowa do małych myśli, wzniosłych postaci do błahych celów, jednem słowem, harmonja pomiędzy językiem a przedmiotem w niczem prawie naruszoną nie została; widać go wszędzie u steru prawdy i piękna, widać jak walczy na zabój z brzydotą swego wieku, z materją surową, szorstką, bezładną i wrogą wszelkim uczuciom piękna. Tu mistrz mocą genjuszu rozkazuje żywiołom i czyni je posłusznemi na każde skinienie swoje. Szekspir ujął oburącz najniesforniejsze ideje swego wieku, obchodzi się z niemi jak z marmurem, łamiąc siłą talentu ich dumny hart. I tu znów język wspomagał go w olbrzymiéj pracy przetwarzania tych potęg na typy prawdy i piękna. Szekspir nauczył się własnego języka swego, podpatrzył jego tajemnice i poznał się z czarami jego potęgi; język był mu talizmanem do zaklęcia najwyuzdańszych nawet uczuć, co żyją ukryte w piersi zbrodniarza! Ci co w charakterystycznych sprosnościach Szekspira upatrują brak piękna, niechaj rozważą, że poeta pracował dla społeczeństwa, którego nerwy twardsze były od zimnéj stali. Chcąc poznać stanowisko jego w obec słuchaczów, należałoby porównać warunki ówczesnéj sceny angielskiéj z hiszpańską. W Hiszpanji była scena wynikiem i obrazem stronnictw i koteryjek teatralnych, nie było w ogóle owego artystycznego pojęcia, jakiem się odznaczała scena londyńska. Teatra hiszpańskie nie miały żadnéj dążności ogólnéj, wydatnéj w jakimś kierunku lub celu; gmin i kobiety władały sceną, a gawiedź rzemieślnicza biła oklaski, i laurem zdobiła swych ulubieńców za lada przysmaczek teatralny. Ale nie taką była owa publiczność londyńska, na którą się Szekspir w prologu do Henryka VIII odwołuje; publiczność angielska mało i prawie wcale nie zważała na trudne stanowisko swego mistrza — owszem, chłostała bezwzględnie pracę i najżarliwsze zabiegi jego.

Za brak piękna i prawdy możnaby poczytać Szekspirowi pozorne uchybienia względem istoty swego wieku. Ale i tu krytycy czepiają się samych jedynie drobiazgów. Prawdą jest poniekąd, że swoich Brytów postroił w pojęcia wieków starorzymskich, Rzymianom dzwony przypisał, czasem bohaterzym wycisnął piętno feudalizmu średniowiecznege, lecz wszystko to czynił poeta li ze względu na stan oświaty i kapryśne wymagania społczesnych, nie zaś dla tego, iżby to było własnym lub dowolnym wymysłem jego; pragnął jedynie dla uprzystępnienia swych idei, ożywić dawne wieki czynną ruchliwością i pojęciami swojego czasu. Pomimo rozlicznych na pozór uchybień względem prawdy i piękna, nikt jednakże nie pomówi go o brak gustu i smaku, ile że podobne usterki popełniał także inny mistrz również wielki prawodawca sztuki, Rafael; i on odmalował bożka Apollina ze skrzypcami na Parnasie, a nie jest-że on pomimo to największym malarzem całego świata! Co do Szekspira, wszelkie usterki bądź piękna, bądź prawdy, bądź estetyczności dotyczące, nie były uszczerbkiem dla całości przedmiotu; mistrz ten nie zapożyczał barwy swego wieku innym czasom i okolicznościom, nie zacierał bynajmniéj ich natury, nie odmładzał starożytności i nie wciągał obcych wyobrażeń do pojęć ludu angielskiego — prędzejby za to Lopego i Kalderona, Kornela i Rasyna naganić można. Ani w ojczystych, ani w rzymskich, ani w średniowiecznych ani bohaterskich dramatach nie odbiegał Szekspir od wewnętrznéj cechy czasów i narodów, tak samo jak postaciom swego wieku nie narzucał ani języka ani wyobrażeń obcych.

Słowem, wszystkie barwy i odmiany, na pozór zdrożne i sprzeczne, jednoczą się uroczem pięknem prawdy i rzeczywistości w tym wielkim mistrzu, który splótł w sobie wszystkie żywioły i pierwiastki dobrego i złego, piękna i brzydoty, szału i spokoju duszy. Z Szekspirem przejrzało po raz pierwszy piękno dramatyczności i on pierwszy ujął dopiero koleje świata i ludzkich dziejów w prawdzie ich głębokiéj. Dramata jego zostaną po wszystkie czasy żywym zdrojem piękna artystycznego. Dość jest wniknąć ostatecznie w typy i postacie rysowane mistrzowską ręką Szekspira, ażeby się przekonać o poczuciu piękna

dramatycznego. Cóż-to za głębia tych jego figur, to otchłań, w której mieszka cała ludzkość. Nadając postaciom swoim piętno odwiecznéj prawdy, sam genjuszowi swemu daje świadectwo, że ujął potęgą swoją całą istotę życia naszego. Z każdéj postaci jego wyczytać można myśl ogólną, powszechną. Weźmy Makbeta, Romeo lub Hamleta, nie są-że to rzeczywiste postacie, pełne prawdy, krwi i życia; zdaje się że się widzi i czyta losy dziejów, że możnaby z nich wyprowadzać naukę mądrości, pełną myśli ogólnych, roztwierających całą głębię serca ludzkiego i tajniki duszy ludzkiéj, będące prawdą po wszystkie wieki. Szekspir ma oczy otwarte na świat wewnętrzny; on genjuszem przejrzał historję wewnętrzną człowieka, on nauczył się na pamięć serca ludzkiego, on uczył się i badał ludzi, by poznać człowieka. Niemasz pierwiastku żyjącego w duszy ludzkiéj, któryby nie wystąpił żywym typem w głównéj jakiéj figurze; a jak każda postać jego jest całością i zupełnem zestrojem przeróżnych barw, tak znów każdy z jego dramatów jest światem dla siebie. I dla tego Szekspir nie jest wyłącznie wieszczem angielskim, on jest własnością nas wszystkich i chlubą wszystkich narodów i wieków.

Na tem kończymy uwagi nasze nad Szekspirem. W następnéj kronice zatrzymamy się ostatecznie u myśli, od któréj rozpoczęliśmy studjum niniejsze, t. j. u pytania, jaką wartość i doniosłość ma tłumaczenie francuzkie dzieł Szekspira dokonane przez Franciszka Hugona.

August Jeske.



Korrespondencja z Paryża.

Mimo trwającego dotąd ciepła, ubrania jesienne widać już, nie tak na ulicy, jak raczéj w magazynach tutejszych, przygotowano je dla licznych cudzoziemców, którzy w tych czasach zwykli odwiedzać Paryż. W kapeluszach moda coraz się bardziéj ujednostajnia nie widać już wcale prawie fanszoników, lecz maleńkie kapelusiki z rondem przystającem płasko do czoła, z główką nie wielką okrągłą, i prostym bez żadnych fałdów karczkiem, na trzy palce, z pod którego spadają warkocze albo koki. Podpięcie po nad czołem rzadko kiedy składa się z kwiatów; najczęściéj zaś ze skręconego aksamitu, lub pliski aksamitnéj powleczonéj koronką *Kluny*. Przytoczemy tu kilka kapeluszy któreśmy widzieli, w jednym ze słynniejszych Magazynów.

Kapelusz zielony aksamitny, w kolorze czysto szmaragdowym, miał rondko przymarszczane w poprzecz, osobną główkę i karczek prosty na trzy palce, pomiędzy rondem a główką przeciągniętą była wstawka z koronki *Kluny* przedłużona po bokach na pół łokcia, podwleczona zieloną aksamitką, i tworząca klapki, które się spinają na krzyż na szarfach. Rondko objęte było brzegiem aksamitną bufką, nad czołem szła pliska aksamitna powleczona koronką *Kluny*; boczki wygarnirowane blondynką dopełniały całości.

Drugi kapelusz cały pleciony w kratkę z czarnéj szneli na fijołkowéj jedwabnéj podszewce, przybrany był z tyłu strusim piórem fijołkowym, podpięty aksamitnemi bratkami. Szarfy z wstążki tegoż koloru, i blondynka po bokach dopełniały ubrania.

Trzeci kapelusz aksamitny niebieski koloru *bleu mexique*, miał główkę fałdowaną z niestrzyżonego aksamitu białego w czarną kratkę, podpięcie składało się z pliski aksamitnéj niebieskiéj, powleczonéj koronką *Kluny* między rondem a główką przechodziła także koronka, przedłużona po bokach.

Czwarty kapelusz z białego niestrzyżonego aksamitu w czarne paski, podpięty był nad czołem, skręconym aksamitem pąsowym, szarfy pąsowe, służyły do wiązania.

W ogólności, możemy powiedzieć na pochwałę tegorocznych kapeluszy, że się zalecają prostotą, i że nie są przeciążone zbytniemi ozdobami; to jedno zarzuciéby im można, iż są nadzwyczaj małe; chybiają zatem celu, gdyż latem nie zasłaniają od słońca, zimą zaś nie zabezpiecza głowy od mrozu.

Wiele już daje się widzieć, ciężkich wyrobów wełnianych na suknie, i gotowe spódniczki z takiemiż paletocikami. Niektóre z nich mienione, złożone z jedwabiu i wełny w dwóch kolorach. Paletociki do tych sukien robią zazwyczaj gładkie, prawie przystające do figury, objęte w koło pletnią lub aksamitką, spięte na wielkie guziki z konchy perłowéj, lub szmuklerskie odpowiedniego koloru. Paletocik rozcięty po bokach ku tyłowi naszyty bywa na rozcięciu rzędem guzików, rękawy wązkie przystające do ręki, mają epolecik złożony z paska gładkiego naszytego rzędem guzików.

Mnóstwo też pojawiło się kaftaników z flanelki i *multenu* wełnianego na tle białem w paski lub rzucik kolorowy z kapturkiem płaskim spiczastym zakończonym kwastami z angory i grubym sznurem jedwabnym.

Kaftaniki te bywają wolno puszczone i wcinane do

figury. Guziki przy nich duże z konchy perłowéj, lawy, stali albo imitacji koralu.

Szlafroczki na rano mają zupełnie kształt długiego paletota, jedne są płaskie z przodu, układane z tyłu w głębokie fałdy; inne bez żadnych fałdów opasują w stanie sznurem szmuklerskim lub pasem z klamerką.

Szlafroczek taki z tybetu niebieskiego lub fijołkowego, ubierany aksamitką i koroneczką czarną bardzo ładnie wygląda.

Kołnierzyki płócienne robią coraz wieksze, z ostro ściętemi lub zaokrąglonemi rożkami. Wiele z nich przybierają wstawką *Kluny*, i obszywają takąż koroneczką u brzega; inne mają tylko wstawione kwadraty albo medaljony w narożnikach z tejże koronki. Mankiety, proste jak u koszul męzkich objęte są zarówno koroneczką.

Do nowości jesiennych należą krawatki wązkie zszyte z ukośnéj materji w dwóch kolorach: robią je zwykle w kolorze pąsowym, niebieskim, fijołkowym i t. p. pomięszanym z białym lub z czarnym, u szyi wiążą się na małą kokardkę.

W obuwiu dostrzegliśmy także nowość. Są to buciki z tkaniny chińskiéj, w niewarowym kolorze, nadzwyczaj mocnéj i sztywnéj, podobnéj do kanwy. Buciki te nie mają wcale podszewki przez co wyborne są na upał. Okładają je zwykle skórką lakierowaną i sznurują przez środek nogi.

Pończochy z *fil d'Ecosse* w szachownicę należą do najmodniejszych. Magazyny tutejsze przysposobiły wiele takich pończoch w dwóch kolorach: białym i fijołkowym, czarnym i pąsowym.

Seweryna D.

ROZMAITOŚCI.

KWIATY I OWOCE.

(Dalszy ciąg.)

Potrzebna także koniecznie do uprawy kwiatków w pokoju, ziemia zwana próchnicą, zawierająca w sobie roślinne części. Tę należy kupować od znajomego i pewnego ogrodnika, łatwo bowiem można być oszukanym, i zamiast świeżéj próchnicy kupić starą wydobytą z doniczek. W saméj próchnicy hodują się mirty, wrzosy, wszelkie odmiany kaktusów, słowem wszystkie tłuste i mięsiste rośliny.

Do pomarańcz, granatów, oleandrów i innych roślin kwiatowych tego rodzaju, używa się mięszanina złożona z połowy ziemi ogrodowéj zmięszanéj z inspektową, i z drugiéj połowy czystéj ziemi inspektowéj. Ale kiedy te drzewka utrzymywane w dziedzińcu lub na ganku, przyszły do większych rozmiarów, wtedy ilekroć wypadnie je przesadzić w nowy wazon, potrzeba wezwać doświadczonego ogrodnika, który dostarczy ziemi przygotowanéj umyślnie na ten cel, przed kilku miesiącami, złożonéj w równych częściach z ziemi ogrodowéj, inspektowéj, z gliny i próchnicy. Te pomięszane i przetrawione razem, wybornie odpowiedzą potrzebie.

Ktoby hodował kollekcją geranji i pelargonji, powinien im dać mięszaninę, złożoną z trzech części: z ziemi ogrodowéj, próchnicy, i nawozu krowiego na pół przetrawionego. Taż sama mięszanina właściwa jest dla kamelji.

Podlewanie. W pielęgnowaniu roślin najważniejszą jest rzeczą podlewanie. Trzeba wybierać starannie wodę na ten cel przeznaczoną. Woda deszczowa, jest bez wątpienia najlepsza, studzienna zaś najmniéj odpowiednia ze wszystkich. Kto ma nie zbyt wiele doniczek, może je podlewać tąż samą wodą, którą mu przynoszą do gotowania. Ale przedewszystkiem trzeba uważać na to, żeby woda miała też samą temperaturę jaką ma ziemia w doniczkach. Warunek to konieczny do utrzymania roślin w dobrym stanie. Jeśliby na przykład w pokoju dostatecznie ogrzanym, podlewał kto kamelje zupełnie zimną wodą, nie miałby nigdy kwiatu, gdyżby pączki po jednemu przyschły i opadły. Kamelje, gardenje i inne tego rodzaju krzewy, powinny być podlewane raz na tydzień w porze rozkwitu, tłustą wodą, w któréj przemywano kuchenne statki.

W lecie podczas długiéj suszy, liście krzewów i roślin pokrywają się pyłem. Trzeba zatem wziąść doniczki do kuchni, i tam trzymając je w pochyłem położeniu, nad kamieniem do pomywania lub wanienką, trzeba opłókać z kurzu liście każdéj rośliny, nie polewając zbytecznie ziemi w doniczkach.

Odświeżanie powietrza. Światło i powietrze, to dwa żywioły nie mniéj potrzebne do utrzymania roślin, jak ziemia i woda. Tych dwóch żywiołów brak im niekiedy w pokoju lub nawet za oknem, gdy to okno wychodzi na ciemne podwórze, lub na ulicę, zabudowaną wysokiemi domami; pełną błota i wyziewów z rynsztoku. W pokojach rośliny kwiatowe powinny zajmować nie miejsce odpowiednie do przybrania niemi apartamentu, ale raczéj to, w którem mogą najlepiéj korzystać ze światła. Przechodząc ulicą w wielkich miastach Belgijskich, patrząc pilnie w okno można się nauczyć w krótkim czasie botaniki i ogrodnictwa. Każdy lubownik kwiatów, bogaty czy ubogi, ma w oknie schodki pomalowane zielono, zastawione kilkoma rzędami doniczek, z kwiatami kwitnącemi w każdéj porze. Ta wystawa kwiatowa nie ma bynajmniéj na celu próżnéj chęci przyciągania oczów, lecz urządzona w ten sposób jedynie dla tego, aby kwiatki miały światło którego potrzebują. Jeżeli w obszerniejszem mieszkaniu, słońce przechodzi z jednego pokoju do drugiego, wówczas przenoszą i kwiatki, aby z niego jak najdłużéj korzystały. Tam gdzie z ulicy dochodzą zepsute wyziewy, nie można chodować niektórych kwiatów; róże naprzykład wymagają koniecznie świeżego i czystego powietrza. Dla tego to w Anglji, we wszystkich przemysłowych miastach róże źle się w ogólności udają. Bogaci lubownicy angielscy, sprowadzają je z Francji i Belgji, i muszą odmieniać je co lat parę, gdyż róże przesycone wonią węgla ziemnego, nie chcą wydawać kwiatów.

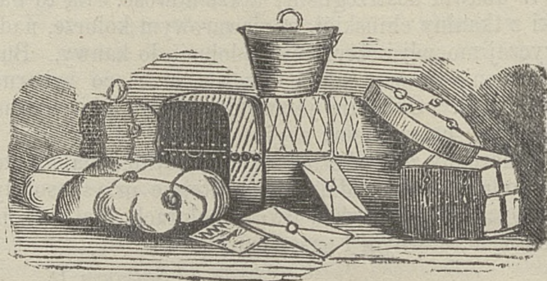
(d. c. n.)

Opis ryciny

Figura 1. Suknia *bleu mexique* jedwabna przybrana pasmanterją. Paletocik odpowiedni przedłużony z tyłu. Kapelusz *Empire* z tiulu jedwabnego, z długim tiulowym woalem, przybrany powojem niebieskim.

Figura 2. Suknia fularowa szamoa obłożona białym fularem i gipiurą, paltetocik ubrany odpowiednio. Nad koronką idzie wązki szlaczek haftowany szydełkiem. Kapelusz biały tiulowy przystrojony zielonemi kłosami i maczkiem polnym.

DONIESIENIA.



Pani Paulinie Kraszkow. Koszule dzienne kobiece mają karczki haftowane. Spódniczki układają nad obrębem w zakładki przeszywając je wstawkami haftowanemi. Kaftaniki ranne robią z nanzuku lub półbatystu garnirowane falbanką haftowaną, takąż wstawką i drobnemi zakładkami. Bieliznę znaczą powszechnie białą bawełną z pąsową obwódką. Serwety znaczone są w rogach, obrusy zaś duże w środku żeby znak na stole był widocznym, lub z obydwóch brzegów gdzie wypada miejsce dla gospodarza i gospodyni domu.

Pani J. Sta. Jakiego koloru ma być ubranie ze szneli?

Pani K. Długo. Suknia ufarbowana przesłaną została.

Pani Jankow. Gdyby gorsecik był nie dogodny odmienić go można.

Pani Karo. War. Forma salopy gładkiéj i fałdowanéj wkrótce dodaną będzie.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



Gilquin fils, Imp. r. des Fosses St J. 3. Paris 3453

TYGODNIK MÓD

w Warszawie.